

Krzysztof Korotkich
(Białystok)

**POŻEGNANIE WIEJSKIEJ PARAFII.
KSIĘDZA JANA TWARDOWSKIEGO
UWAGI O ŚMIERCI**

Poetycka eschatologia

Popularność poezji księdza Jana Twardowskiego coraz częściej wydawać się może wyznacznikiem jej wielkości oraz wskazówką do poszukiwań różnych, coraz nowszych, sposobów interpretacji tej liryki. Wiersze Twardowskiego przecież stały się wspaniałym „librettem” do młodzieżowej twórczości muzycznej, ale też imponująca liczba wydań kolejnych tomów i tomików poetyckich sygnowanych nazwiskiem poety-księdza mogłaby już sama w sobie stanowić doskonałe świadectwo niezrównanej poczytności¹. Barwne, często dowcipnie ilustrowane wersy tej cieplej poezji czyta się łatwo i z niebywałą lekkością, ale też – i to właśnie zastanawia – bywa ona niezwykle silnym bodźcem pobudzającym do refleksji na „najgłębsze” tematy, te, które nazywane są bądź to filozoficznymi, nieraz teologicznymi, bądź to egzystencjalnymi. I można próbować zagłębiać się w podobne refleksje, próbować dookreślić „rodzaj” tej liryki, nazywając ją raz religijną, raz „dziecięcą”, naiwną, albo też wysoką, poważną, przenikającą dojrzałą duchowość człowieka, próbującą wpisać go w wyobrażenie Boskiej doskonałości poprzez przeżycie „prostoty”. Byłyby to jednak refleksje, których podstawą pozostanie pewien rozdzźwięk, pozorna sprzeczność między tym, co proste i jasne (popularne!), a tym, co poważne, głębokie, co wprowadzające czytelnika w tajemnicze „okolice duchowości”. Ten rozdzźwięk właśnie wprowadza nas w jedną z tajemnic poetyckich Twardowskiego, w system osobliwych paradoksów, w świat kontrastów, który zaskakuje, zastanawia, zmusza do myślenia, ale też uspakaja i rozwesela.

¹ Chciałbym zwrócić uwagę na pewien rodzaj niebezpieczeństwa, jakie pociągać może za sobą właśnie popularyzowanie literatury, jej oswajanie – chociażby poprzez śpiew. Najczęściej dzieje się tak, że najbardziej poważny, głęboki w swej wymowie utwór zaczyna żyć jedynie swą powierzchownością – rytmem, rymem, warstwą meliczną. To, do czego sprowadzałyby czytelnika treść (warstwa symboliczna), zatracą się w żywiole przekonania, że skoro łatwo się śpiewa, zna na pamięć każde słowo lub gdy się często słyszy, to jednocześnie rozumie się ukryte znaczenia, wyższe przesłania utworu itp.

Sam ksiądz Twardowski, wypowiadając się o poezji Karola Wojtyły, określa swe rozumienie sztuki poetyckiej tak:

Poeta-teolog nie ogranicza się do znanego mu doskonale języka teologicznego, szuka formy artystycznej dla wyrażenia tajemnicy ludzkiej miłości, cierpienia, śmierci, potoków i górskich strumieni. (...) Poeta szuka więc nie tyle słów, ile poezji – tego, co nieuchwytnie, tajemniczej otoczki milczenia oceniającej słowo, żeby mogło torować drogę poezji².

Trudno nie zauważyć w tej wypowiedzi własnej, oryginalnej koncepcji poezji jako poszukiwania wyrazu dla elementarnych stanów egzystencji. Wyrazu, który musi odpowiednio dać rzeczy słowo, ale jeszcze zawierać to „coś więcej”: poetyckość, poezję.

Poeta sam przyznaje się do tego, iż wielką rolę odegrał w kształtowaniu jego świadomości poetyckiej barok wraz ze swoim kunsztem, z paradoksem i owym konceptem, który zadziwia „lukrowaną” powierzchnią, a który zarazem zaskakuje twardym i „ostrym” wnętrzem. Pod maską radosnego rytmu, wykwintnej kompozycji, czasami też za dyskretnym humorem kryje się to, co dziś nazwalibyśmy „myślą ostateczną”, „troską ostateczną”, horyzontem wieczności lub refleksją o śmierci. Ale należy natychmiast dodać – jakiej śmierci? Jak rozumie poeta kres ziemskiego istnienia, który zazwyczaj przeraża śmiertelnika. Czy jest to rzeczywiście kres, jeśli tak, to jaki?

Nie każdy poeta mógłby poszczycić się tak wielką elastycznością, umiejętnością mówienia niemal w tym samym czasie o śmierci i życiu, o radości i wielkim żalu, o kapłaństwie, o komedii i zaraz po niej – tragedii, ale też o miłostkach, które i on sam przecież przeżywał... Z niezrównanym humorem potrafi ksiądz-poeta opowiadać o swoim dzieciństwie, o lekturach i przyjaźniach, ale najważniejsze jest to, że żaden z tematów nie jest przeszkodą do – charakterystycznego dla niego – ciągłego „przeplatania” myśli i obrazów często przeciwstawnych, łączenia ich w najbardziej prawdziwą relację doświadczonego przez życie człowieka³ –

Bardzo się przyjaźniłem z Anną Kamińską. Poznałem ją jeszcze jako niewierzącą, tuż po śmierci męża – Jana Śpiewaka – i na moich oczach dojrzywała do wiary. To nie był wcale mój wpływ, bo Anna miała własną drogę, którą szła. Najbardziej mi się jej ostatnie wiersze, które – uważam – są za mało wznawiane, a szkoda...

A Stachura? To był taki pop-poeta, z tym że kilka wierszy jest przepięknych. Szczególnie jego msza pogańska bardzo mi się podoba. Chociaż w ogóle jego twórczość wydaje się zbyt nudna, a nudna, bo powtarzająca się. A kiedy popełnił samobójstwo, to zupełnie zaprzeczył sobie i życiu, bo niby tworzył optymistyczną wizję, a w końcu zburzył ten nawet pozorny ład.

Lubię Herberta – to rycerz, chociaż już starzec. Miłosza lubię za jego pierwsze wiersze, teraz pozostał tylko intelekt i umysł felietonisty, a wszystko – jak myślę – przez wielki wpływ poezji amerykańskiej... Jednak to wielka pozycja! A Szymborska? Ona jest zbyt wielką racjonalistką, w jej utworach nie ma nic niepotrzebnego.

Lubię czytać, bo wtedy odpoczywam. Ludzie w dzisiejszych czasach wydają własnym kosztem wiersze. Sprzedają jakieś telewizory, szukają dziadków-sponsorów i wychodzi masa

² Ks. J. Twardowski, *Owoce z ciała i krwi*, w: *Poezja Karola Wojtyły. Duchowe spojrzenia*, wybór i opr. ks. J. Sochoń, Pelplin 2003, s. 13-14.

³ W szkicu wykorzystano zapisaną na taśmie moją [KK] rozmowę z księdzem J. Twardowskim, którą przeprowadzono w Jego domu w Warszawie jesienią 1996 i wiosną 1997 roku. Fragmenty tych rozmów posłużyły za materiał do radiowej audycji *Spieszmy się kochać ludzi* wyemitowanej w białostockiej rozgłośni w roku 1997. Wypowiedź poety wyróżniono drukiem.

wierszy. Tylko one są tak do siebie podobne... I łatwiej, i bardziej dziś się czyta poezję niż prozę, bo proza jakby za długa, a ludzie nie mają na nią czasu. I wydaje mi się, że nie ma dziś też tych wielkich talentów prozatorskich. A poezja zawsze będzie czytana...

Za mało komedii jest, a przecież są niektóre bardzo dobre. Mam często wrażenie, że ludzie przestali się śmiać. Słyszałem też, że trudniej jest być aktorem komediowym, niż dramatycznym. Jako chłopiec oglądałem dużo filmów. Pamiętam spośród nich takie, jak *Pierwszy bal*, albo *Błękitny motyl* z Marleną Dietrich. Ważne jest to, co powiedział o człowieku Goethe – uważał, że człowieka charakteryzuje to, jak on ocenia śmieszność, jak reaguje na żart, dowcip, na jaki rodzaj żartu reaguje.

I nie tylko filmy sprzed wojny pamiętam. Jednym z większych w moim życiu przeżyć była okupacja. Pamiętam czerwiec, Stare Miasto i jakąś egzekucję. A z otwartego okna płynęła muzyka Chopina. Jakżeż mnie to raziło! Pomyślałem wtedy, że sztuka jest taka sztuczna... wobec cierpienia ludzkiego. Dziś myślę, że mogło mi się to tylko wydawać, ale do tej pory nie mogę się pozbyć uczucia kontrastu pomiędzy tą piękną, wysublimowaną muzyką a śmiercią człowieka. Kocham muzykę Bacha, a na pewno nie znoszę tej dzisiejszej. Współczesną muzykę raczej się widzi niż słyszy. Dziwię się, że jest to przez ludzi nawet lubiane. A może to kwestia słabego smaku muzycznego... Dawna muzyka była tylko dla salonu, dziś – dla ludu.

Interesuje mnie muzyka szczególnie jako rodzaj modlitwy, jako jakaś chęć obcowania z Panem Bogiem, chęć poznania obecności Boga i Jego bliskości. Przecież ja mówię do Niewidzialnego – to ciekawe zjawisko dzisiaj jest raczej niezrozumiałe. Dla mnie zaś modlitwa i muzyka jest obcowaniem z Bogiem, wymaga to jednak czystości serca, skupienia pewnego, chęci wyjścia poza takie codzienne życie, zwykle...

Bo ja mam własną koncepcję miłości. Uważam, że w człowieku jest wielkie pragnienie szczęścia, a szczęście to jest kochać i być kochanym. A to według wiary daje Bóg. Jeżeli człowiek kocha innego naprawdę, to kocha też Pana Boga. Ludzka miłość jest zawsze samotna i człowiekowi nigdy jej nie wystarcza, bo pozostaje jeszcze ta tęsknota za Kimś Innym. Ale to nie przeszkadza w miłości prawdziwej. Kiedy człowiek spotka Boga, to się dowie, że On go naprawdę kochał, chociaż człowiek nie bardzo temu dowierzał, a i on kochał Boga, chociaż go Bogiem nie nazywał – ludzi kochając...

Nie boję się śmierci. To jest właściwie tak, jak z samolotem – chciałoby się polecieć, a z drugiej strony pozostaje jakiś niepokój... Mam dlatego własną koncepcję śmierci – pogodnej. Jest to po prostu spotkanie z Bogiem-Miłością. Bo miłość jest główną inspiratorką życia – jak Bóg. Ale miłość musi być ładna, bo są i brzydkie...

Ja jestem jeszcze z pokolenia, kiedy kobieta była fascynacją. Klękano przed nią, dawano jej kwiaty i uwielbiano. Kobieta poza tym była bardziej tajemnicza... Ludzie mówią, że Bóg stał się człowiekiem, a kobieta diabłem!...

Najlepszym i „najzdrowszym” sposobem mówienia o śmierci jest żartowanie z niej – ciągłe o niej pamiętanie, ale zawsze w kontekście życia. Każda bowiem próba kreślenia tragicznego spektaklu przedstawiającego demoniczność śmierci, jej niewymowną straszność, niezrozumiałość itd. kończy się zazwyczaj patetyczną konstrukcją, którą trudno przyswoić bez większego lęku i poczucia obcości...

Oglądana z perspektywy całości, twórczość Twardowskiego sprawia wrażenie niezwykle pogodnej, wręcz wesołej, bardzo nastrojowej oraz optymistycznej⁴. Jest to fenomen tej poezji, bowiem raczej się nie zdarza, by nawet niedoświadczony czytelnik, który tylko się zetknął z wierszami, umiał opowiedzieć się za tą poezją jako „smutną”. Tym bar-

⁴ Głębsze ujęcie liryki Twardowskiego zob. Z. Zarębianka, *Poezja wymiaru sanctum. Kamińska, Jankowski, Twardowski*, Lublin 1992; A. Stempka, *Tradycja religijna w poezji Jana Twardowskiego i Janusza St. Pasierba*, Bydgoszcz 2006.

dziej właśnie pogrąża nas pisanie Twardowskiego w głębię z pozoru prostego słowa, zatapia czytelnika potencjałem swoich znaczeń i barwnością ewokowanych obrazów, stwarza tym samym ogromne możliwości dla wyobraźni. Zadziwiać może jednak to, że pośród takich radosnych (a ośmielę się powiedzieć – nieraz niemalże naiwnych) wierszy, niezwykle często pojawia się temat śmierci. Nie jest to jednak śmierć sprowadzająca chaos i zwątpienie, ukazująca kres życia, nadziei, poruszająca korzenie rozpacz. Przeciwnie – autor ucieka od apokaliptycznej wzniosłości, nie straszy, ani też nie zatrważa⁵.

Wielowarstwowa, polisemiczna kompozycja stwarza punkt wyjścia do odpowiedzi na zagadkę niezwykłości, prawdziwej osobliwości poezji Twardowskiego, takiej, która nie straszy powagą tematu, ale oferuje najgłębsze studium wartości, wiary i po prostu życia w sposób przystępny i naturalny, zgodny z każdego rodzaju oczekiwaniem czytelnika.

Być może właśnie dlatego, że nie ma w tej poezji zbędnej ostentacji, że nawet tak trudny temat, jak śmierć, pojawia się tu obok tętniącego życia oraz swojskości, może dlatego trudno mówić badaczom o tej poezji „wyczerpująco” i z nutą pewnością, że to, co się mówi, odpowiada w pełni intencji autora. Zawsze bowiem w konkluzjach badaczy kryć się będzie wspomnienie o swoistej barokowej ironii, która obok bujności i kolorytu, kryje w sobie pamięć o nieustannie trawiącej ludzki świat śmierci.

Pożegnanie

Świat projektowany przez poetę wydaje się na tyle jednolity, że trudno by mówić o osobnych tematach jego twórczości, gdybyśmy nie skupili się na kilku utworach. Niezwykle trafną ilustracją osobliwej nastrojowości, ale też bogatej „filozofii” liryka, wydaje się wiersz *Pożegnanie wiejskiej parafii* – zrodzony z doświadczenia pracy duszpasterskiej na pierwszej parafii księdza-poety. Utwór to wieloznaczny, gdyż autor wykorzystuje w nim większość stosowanych w swojej twórczości środków stylistycznych, „sztuczek” skłaniających do czytania utworu z najróżniejszych perspektyw:

Pożegnać wikariatkę na niewielkim piętrze,
zabrać Biblię w tłumoczek kazania gorętsze
a sad sobie zostanie z gęsiami i płótem
strasząc konie proboszcza kasztanów bełkotem

Niechaj memu następcy kwiatem w brewiarz spada
wart bo lepszy ode mnie i mądrzej spowiada

Jeszcze skryję się w kościół. Nie chciej tu mnie widzieć,
bo ksiądz płacząc sam siebie jak grzechu się wstydzi

Tylko spojrzeć. Ten święty z pospolitą głową
jakiś śmieszne serduszko z wstążeczką różową
spośród wotów świecące jak żuczek z ukrycia
w czas co na usługach i śmierci i życia

⁵ Słusznie nazywa poezję Twardowskiego „antypatetyczną” W. Smaszcz w *Posłowie do Wierszy J. Twardowskiego* (Białystok 1996), dodać by jednak można, że jest to twórczość nie tylko „antypatetyczna”, ale także wnosząca do literatury inny rodzaj ironii, polegającej na „kolorowaniu” stereotypów naszej wiary, kultury, a nawet „poważnej” teologii. Odwaga pisarza jest tym większa, że wypływa z doświadczenia nie tylko poetyckiego, ale przede wszystkim duchownego, z jego kapłaństwa, które przecież zawsze pozostaje podporządkowane teologii.

Pora odejść. Nie płoszyć myszy i pacierzy
patronów dobrej sławy złej sowy na wieży

Pora odejść żal tając jak iskry niezgasłe
że mnie ze wsi zabrali by pokrzywdzić miastem
Tak smutno psy porzucać. Tak zapomnieć trudno
wodę w stawie mierzoną złocistą sekundą
las z dzięciołem
kukulkę uczącą w gęstwinie
jak śmiesznie jest powtarzać tylko własne imię
przybędę co na rzece wyrzucił się z łódką
i spoczywa pod krzyżem krzywym z niezabudką

Żal szkoły dzieci w ławkach woźnej z pękiem kluczy
choć lepiej że przyjdzie tu ktoś inny po mnie
stopnie gorsze postawi lecz czegoś nauczy

Żal kulawych i głuchych chorego w szpitalu
bardzo dawnej paniusi w przedpowstańcym szalu
przygotowań do wilii smutnej oczywiście
gdy opłatek od matki drży na poczie w liście

Jeszcze tu kiedyś wrócę. Nocą po kryjomu
wiersz o świętej Teresce dokończy w tym domu

Po cmentarzu pobłądź. Ty dłońmi dobrymi
przebacz wszystko. Pochowaj między najgorszymi

Nie byłoby specjalnych powodów, by zatrzymać się już nad pierwszym słowem wiersza – „**pożegnać**”, bowiem pojawia się ono nawet w tytule utworu, ale kolejne zdania zmuszają do zastanowienia nad prawdziwym, pełnym sensem, jakie niesie ono ze sobą. O jaki rodzaj pożegnania może tutaj chodzić? – czy o uścisk dłoni przed wyjazdem do innej miejscowości, a może raczej o przytulenie najbliższych i o tych kilka pocałunków, które byłyby dowodem przyjaźni i pamięci na czas dzielący od następnej wizyty? A może chodzi tu o pożegnanie zupełnie inne, takie, za którym kryją się „ciężkie” słowa: „jeszcze”, „pora odejść”, „żal”, „spoczywa pod krzyżem”, „cmentarz” i wreszcie „pochowaj”.⁶ Oczywiście, jak już mówiliśmy wcześniej, a też wielokrotnie o tym pisano⁷ – nie stosuje poeta takich słów, by straszyć swojego odbiorcę,

⁶ Interesująca wydaje się rola, jaką pełni w twórczości Twardowskiego symbolika np. kasztanowca. Z nutą pewnej nonszalancji pojawia się kasztan chyba nieprzypadkowo, między innymi w takich wierszach, jak *Powrót!* (o związku wiersza *Powrót z Pożegnaniem...* w dalszej części szkicu). Nasuwają mi się właśnie w kontekście niniejszych rozważań dwa ludowe podania poświęcone temu drzewu. Otóż na Białostocczyźnie mówi się o tym, że gdy młody kasztan wyrośnie na wysokość sadzącego go człowieka, umrze on na pewno w niedługim czasie. Z kolei na Mazowszu mówi się o kasztanie jako drzewie znacznie starszym, sędziwym i imponującym kolosie, któremu – bywa – bardzo głośno pękają grube gałęzie. Człowiek, który słyszy ów dźwięk (strzał), spodziewać się powinien rychłego zgonu, swojego lub bliskiej mu osoby... Nie zakładając, że autor *Pożegnania* znał te przesady, symbolika kasztana oddziaływać może na czytelnika w zdaniu, w którym kasztan „spada i puka do grobu”.

⁷ Przywołać należałoby między innymi książkę A. Sulikowskiego, *Światy poetyckie księdza Jana Twardowskiego* (Lublin 1995), w której autor porusza większość tematów realizowanych przez poetę, ciekawie prezentując je w kontekście życia osobistego poety (tu szczególnie s. 255-262).

nie po to ich używa, aby uprawiać teologię i prowadzić do wrót apokalipsy. Przeciwnie – próbuje je oswajać, przybliżać na tyle, aby niczym farby służyły wymalowaniu pięknego (radosnego w sumie!) obrazu.

Zrzuca więc autor na czytelnika trudność zrozumienie słowa „pożegnać”. Wybiera się bowiem w podróż, na którą zabiera „tłumoczek”. Taka podróż, w którą się zabiera Biblię i kazania, bez zbędnych walizek i plecaków, to chyba jednak bardziej podróż duchowa, niż przemieszczanie się w przestrzeni. Można mieć wrażenie, że ksiądz Twardowski nie wspomina, ale że ma dar opisywania rzeczywiście przesuwających się przed oczyma obrazków, że naprawdę błądzi spokojnie po dzieciństwie, młodości, a kiedy powraca do rzeczywistości, to jakby zmieszany, z lekkim wstydem, że dał się przyłapać na „niestosownej” eskapadzie. Szybko jednak się zaraz uśmiecha, i znów opowiada...

Bardzo mnie interesuje humor, próba pewnego dowcipu. Ten dowcip zapisałem w swoich *Niecodziennikach*. Poezja, uważam, powinna odtruwać życie. Ludzie tego potrzebują, bo żyją w świecie zatrutego powietrza, ale przede wszystkim w świecie bzdur rozmaitych, taniego ateizmu, taniego materializmu. A wydaje mi się, że moje pokolenie żyło jeszcze w tych pytaniach: Bóg, dusza... Było to takie oczywiste i powszechne.

Dlatego być może moje wiersze nawiązują do tych zasadniczych rzeczy. A wśród nich jest moje nieustanne zdziwienie nad światem. Dziwi mnie wszystko – to, że człowiek się urodził, a później umiera, że Ziemia kręci się wokół Słońca – to wszystko takie dziwne, jakies wręcz niesłychane, a nie każdego dziś już to może zadziwić... Jakbyśmy teraz tracili swoją tożsamość, mam takie wrażenie. Wydaje nam się zbyt naturalne to, że mamy piękne tradycje. Jak chociażby nasza Polska Mickiewiczowska – to mnie bardzo wciąż wzrusza, albo nasza młodość – mimo wszystko jakaś taka szlachetna... To wszystko takie piękne, ale czegoś brakuje wśród tych wzniosłości. Humor właśnie odciąga od patosu, jest on niepodważalną puną.

A w literaturze przecież – jak w życiu – dramaty kończą się śmiercią, a komedie – małżeństwem...

Ale zaraz należałoby siebie zapytać – skoro to słowo „pożegnać” inicjuje podróż duchową, to dlaczego bohater podróży powtarza wielokrotnie „jeszcze skryję się...”, a także dlaczego obwieszcza, że mu wielu rzeczy będzie „żał”? Czy marząc, wyobrażając, przenosząc się po prostu w czasie, gdy ma się zamknięte oczy, należy kryć się i żałować? A może ma na myśli całkiem inny rodzaj podróży? – taki, gdzie porządkować wszystko będzie czas, „czas, co na usługach i śmierci, i życia”. Wyobrażnia czytelnika musi się więc podporządkować temu czasowi, który prowadzi – przez radosne życie do śmierci. Słowo „śmierci” należałoby mocno podkreślić, gdyż z jej powodu właśnie pewien przybłąda „spoczywa pod krzyżem krzywym z niezabudką”... Ten krzywy krzyż i niezabudka to na pewno konsekwencja, echo, ślad nieskończonej miłości poety do natury, prostoty i do wsi, gdzie przecież się wychował, a z której go „zabrali by pokrzywdzić miastem”⁸ –

Wakacje zawsze spędzałem na wsi. Jeździłem do dworku mego wuja niedaleko Płocka. Z przyrodą byłem zżyty na dobre. Byłem też, co wiadomo, sześć lat na wsi księdzem. Przypomnijmy – pierwsze miasto Kain stworzył... Ale i wieś się zmieniła. Jest inna niż kiedyś.

⁸ Por. U. Sokólska, *Leksyka „zwierzęca” jako składnik comparatum w porównaniach księdza Jana Twardowskiego*, „Białostockie Archiwum Językowe”, t. 7, Białystok 2007, s. 153-168; G. Habrajska, *Specyfika języka kazań dla dzieci księdza Jana Twardowskiego*, w: *Tekst sakralny – tekst inspirowany liturgią*, red. G. Habrajska, Łódź 1997, s. 233-244.

Wszystko się zmieniło... z wyjątkiem jednak białostoczczyzny, bo to taki jakby skansen pozostał. I dlatego chyba wolę wschód niż zachód Polski. Bo ludność na wschodzie podobna do tej z Trylogii. Znaleźć tam możemy i Polaków, i Tatarów, Białorusinów i Rosjan. Znalazłem kiedyś chaty jakby „półdzikie” z gankami na płotach, te ławeczki przed płotem... To takie piękne, takie urocze... Bo w Szwajcarii na przykład wszystko wylizane, jak w ogrodzie botanicznym, trudno znaleźć prawdziwą naturę. A tutaj wszystko swojskie..., tu ludzie mi są bliżsi... I widzę wielką różnicę między warszawiakiem i białostoczaninem.

Jednak przecież nie tylko wspomnienie wsi będzie dominować w *Pożegnaniu wiejskiej parafii*, nie tylko pożegnanie piętrowej wikariatki, ale – chciałoby się dopowiedzieć – ksiądz żegna jakby cały świat, i jednocześnie tylko świat, bo razem z nim wszystkie wspomnienia...

Niczym wytrawny akrobata chodzi poeta po cienkiej linii wspomnień, a jego wyobrażenia nie ogranicza się do przedstawiania – wymyka się spod kontroli i jak demiurg prowokuje do pokonania wszelkich granic. Chciałby on pokonać czas, próbuje więc go zatrzymać w szczegółach. Mamy przecież tyle biedronek, mrówek, ptaków, kasztanów, liści, żuczków i łez... A kiedy wystarczająco mocno uda się zaczarować rzeczywistość w tych osobliwych „mikrokosmosach”, gdy uda mu się pożegnać z najmniejszym kwiatkiem nad rzeką lub z tym zasuszonym w książce, wtedy uwalnia się od wszelkiego ciężenia i – jak profeta – zaczyna mówić o przyszłości. „Jeszcze tu kiedyś wrócę...” – siła w owych słowach wielka, bo nie ma tu niepewności, autor wyluskuje samą esencję wiary, tworzy swój wymaginowany świat. W tym świecie wszystko wydaje się takie proste... Dychotomia, wynikająca już z samego doboru słów, nawiązuje do struktury wszechświata bliskiej większości religii i kultur. Obok siebie ustawia poeta: śmierć i życie, „patronów dobrej sławy” i złą sowę na wieży. Nieco dalej mówi narrator optymistyczne – „choć lepiej”, dopełniając jednak konsekwentnie zdanie słowem „gorsze”⁹. Zapewne można by jeszcze znaleźć niejedną parę określeń tworzących napięcia, prowokujących do zastanowienia nad światem, który – chociaż dobry – pozostanie spolaryzowany, a na jego drugim biegunie zawsze kryje się wspomnienie odejścia, upadku, konieczność pożegnania z tym, czego się nie chce żegnać...

Powrót

Cały mechanizm poetyki wiersza *Pożegnanie wiejskiej parafii* opiera się na wykorzystaniu potencjału znaczeń takich słów, które wprowadzają czytelnika w nastrój przypominający niemalże czytanie testamentu! Po serii słów „pora odejść”, „jeszcze” oraz „żał” następuje iście barokowe stwierdzenie, pełne nieoczekiwanego konceptu – „Jeszcze tu kiedyś **wrócę**”. Oto poprzednie „jeszcze”, które odnosiło się bezpośrednio do posępnego „skryć się”, teraz zamienia się w odniesienie do pełnego optymizmu „wrócę”. Odbiorca z pozoru ma doskonałe zakończenie, całkowicie radosne, bowiem ten, kto z żalem odchodzi, ma pewność, że i tak powróci.

Jednak pozostaje coś jeszcze, co zburzy pozorny ład kończącego się wiersza – po żałosnym pożegnaniu nadejdzie powrót, wprawdzie nie taki jak poprzednie, bo na cmentarz, ale przecież czas zatoczy znowu koło. Mówi podmiot liryczny, że poblądzi

⁹ Zob. pracę: J. Kowalewska-Dąbrowska, *Językowy obraz Boga i człowieka w poezji Jana Twardowskiego*, Gdańsk 2006.

„po cmentarzu”, a u Boga doprasza się pochówku „między najgorszymi”. Cmentarz i „najgorsi” są wpisaniem dążeń człowieka w sferę *vanitas*, w największą z pewnością, na którą stać człowieka, póki żyje. I chociaż poeta nie ma zamiaru lansować modelu pesymistycznego zakończenia drogi człowieczego wędrowania, to wpisuje ją w płaszczyznę chtoniczną, w materialność ułonną, krzywą, niedoskonałą, nadzartą czasem, by potem nagle wskazać w niej obecność *sacrum*. Droga przez krzywy krzyż i groby „najgorszych” mają być ścieżką do wiecznej szczęśliwości, do Boga niedoskonałych, ułomnych, zawstydzonych, zakompleksionych, nieznanych, odtrąconych. Twardowski woli być kapłanem i poetą poezji prostej, zaadresowanej do czytelnika bez licencji uprawniającego lekturę prawd najprostszych, a nawet gdyby miały to być nauki o rzeczach ostatecznych.

Jest to jednak nie tylko zamknięcie w przestrzeni funeralnej, przeciwnie – autor przekracza wymiar jednego utworu, nawiązując do *Powrotu*. „Teologia nadziei” wyraźnie przecież twierdzi, że po każdym pożegnaniu nastąpi powitanie, nastanie czas powrotu do mitycznego, najlepszego czasu i przestrzeni. Można by się spodziewać właśnie takiego powrotu, gdyby nie to, że poeta rozpoczyna swój wiersz słowem-głazem, zupełnie niespodziewanym, jakby nie na miejscu w kontekście wysokich oczekiwań wywołanych tytułem. „Odejść” – pisze na wstępie – i to „od świata”, lecz żeby nie było żadnych wątpliwości co do rodzaju odejścia, dopełnia zdanie słowami „zanurzyć się w Bogu”.

Byłby to rodzaj powrotu podobny do tego, jakim okazało się wcześniejsze pożegnanie – powrót duchowy, mistyczny, przynależny do sfery *sacrum*, a więc uwolniony od przypadłości czasu i przestrzeni. Zanurzenie w Bogu należy rozumieć jako śmierć ciała, ale ratunek duszy, jej odejście właśnie w Jego kierunku.

Twardowski unika kreślenia patetycznego obrazu przepelnionego aniołami, świętymi itp., tworzy raczej coś, co nie będzie różniło się od znanego nam z ziemi, powszedniego raju z ptakami, żuczkami, bocianem i żółwiami, ba – nawet z małpą! To wszystko musi powrócić do „Niewidzialnej Ręki”. Zanim jednak dopełni się podróż każdego z istnień, poeta daje wizję pełną nadziei, na miarę oczywiście ziemskich potrzeb. Według poetyckiej teologii, po owym zanurzeniu się w Bogu będzie można „znowu potem powrócić na ziemię”. Wypada chyba w tym miejscu powrócić do *Pożegnania wiejskiej parafii*, aby odpowiedzieć na pytanie, co powracający na ziemię po ostatecznym spotkaniu z Bogiem miałby zrobić...

Czytamy, że „najlepiej” jest powracać „nocą po kryjomu”, wtedy – planuje podmiot liryczny – można dokończyć kiedyś rozpoczęty wiersz, ale też można po prostu „po cmentarzu pobłądzić”... Czyż nie rodzi się tutaj wrażenie, że śmierć, do której poeta po mistrzowsku nawiązuje, zaciera się gdzieś w miarę mówienia o niej, wymyka się z ram przewidzianych dla niej i teologią, i tradycją, i nawet prostą wiarą? Zupełnie jakby poeta miał władzę odwieść ją „na bok”, na inną okazję, jakby próbował odtworzyć tym razem takie prywatne, małe zmartwychwstanie, na potrzebę tych, których przeraża interpretacja apokaliptycznej wizji...

„Na rekolekcjach nie strasz śmiercią”, rozpoczyna się wiersz *Do kaznodziei*. Byłaby więc afirmacja życia, ale też **afirmacja śmierci**, *credo* poetyckim (i kapłańskim!)

Jana Twardowskiego. Sztuką bowiem jest mówić o życiu poprzez obrazy śmierci, ale też o śmierci mówić, nie zapominając ani na chwilę o życiu...

Jestem księdzem szczęśliwym, dopasowałem się do tej „profesji” z natury, wyglądu i wewnętrznego smaku. Bo myślę, że nie zawsze można być szczęśliwym. To się zaczyna od wyboru, od decyzji. Mnóstwo tych decyzji: studia, małżeństwo – to okropne przeżycia – przecież nie każdy zdaje egzamin. Iluż ludzi wbrew swemu powołaniu. A dzieciństwo jest zawsze spokojniejsze. To chyba słowa Słowackiego: „Niech mi się wrócą znów młodości siły, / Lecz nie wracają młodości cierpienia”¹⁰.

SUMMARY

„Pożegnanie wiejskiej parafii” (*Farewell to the Country Parish*). Priest Jan Twardowski’s remarks on death

The author refers to the unpublished interview with an eminent poet priest Jan Twardowski. In the interview the subject of passing is discussed, the poet remembers great late poets (Herbert, Stachura). Talking about death, he uses the metaphor of flying by plane, which evokes both fascination (everybody would like to be flying right now) and fear. In the second part the researcher analyzes a nostalgic poem by Twardowski, „Pożegnanie wiejskiej parafii”, in which the affirmation of death appears.

Translated by Joanna Szerszunowicz

¹⁰ Ksiądz Twardowski cytuje z pamięci fragment zakończenia *Araba* J. Słowackiego:

Stój! stój, wielbłądzie, zakończyłem drogę.
Trudno już szkodzić ludziom – śmierć się zbliża.
Czuję do biegu mniej polotną nogę,
I strzała z mojej cięciwy mniej chyża.
Widzę z daleka śmierć posępną, ciemną,
Już się czarnemi skrzydłami nasuwa:
Zasnę... Już widzę, już wkrótce nade mną
Ten wielbłąd, który śmierci nie przeczuwa;
Gdy wicher w stepach posępnie zawyje,
I zwłoki moje toczy przez tumany,
W piaskach się czai, myśli, że pan żyje,
Że się pod spiacę skrada karawany;
Wielbłądzie! pan twój w innym błędzi kraju,
Zasnął na stepach i marzy o r a j u.
(...)
Niech mi tam prorok wróci mego konia,
Który gdzieś w piaskach pustyni spoczywa;
Niech dla rajskiego duszy zachwycenia,
Step ten mych wrogów okryją mogiły;
Niech mi się wrócą znów młodości siły,
Lecz nie wracają młodości cierpienia.

Cyt. za: J. Słowacki, *Powieści poetyckie*, opr. M. Ursel, wyd. IV, Wrocław – Warszawa – Kraków – Gdańsk – Łódź 1986, s. 118-119.